

WIKI

Nowe życie w Oborze.

Aniela Kandut urodziła się dnia 12 lutego 1929 roku we wsi Wełdzirz, powiat Dolina, województwo Stanisławów. Rodzina pełna, szczęśliwie mieszkająca przy ulicy Kuplowieckiej 12. Ojciec – Stanisław, mama – Petronela. Obecnie w miejscowości Obora przy ulicy Malinowej.

Z domu Gołębiowska jestem, po mężu Kandut. Przyjechaliśmy z rodziną i znajomymi do Lubina pociągiem 3-ciego sierpnia 1945 r. Miałam wówczas 17 lat. Wysiedliśmy na stacji PKP w Lubinie, ponieważ nie mieliśmy wyboru. Mówiono, że kolejna stacja to Berlin. Wcześniej mogliśmy wysiąść w Oleśnicy, ale tam nie było żadnych perspektyw. Była rodzina, tobołki i krowa. Kiedy na stacji w Lubinie mama spotkała swą przyjaciółkę wyznała jej, że bardzo boi się o przyszłość swej rodziny. Miasto zburzone, ocalała tylko ulica Odrodzenia, lepsze domy pozajmowane zostały przez Rosjan. Zajęliśmy baraki na Starym Lubinie, moja kuzynka, świętej pamięci Wandzia, zaproponowała byśmy poszli poszukać jedzenia. I poszliśmy w kierunku Krzeczyna. Na rozdrożu, stała niegdyś kuźnia, nieopodal znajdowało się pole, na którym posadzono ziemniaki. Wyprawa zakończyła się sukcesem, ponieważ nabieraliśmy kartofli, ale przepędził nas Rosjanin, mówiąc – „*niełzja*”. Uciekliśmy, ale kartoflanek Wandzia ugotowała i była to jedna z pierwszych potraw, które pamiętam z tych ziem. Perspektyw na lepsze jutro nie było zbyt wiele. Ojciec przed wojną był giserem, a w Lubinie nie było przemysłu. Pewnego dnia mój tato, kuzyn, szwagier mamy i Janek Bejczak wyruszyli w poszukiwaniu pracy. Szli torami do Chocianowa, by nająć się do pracy w fabryce. Wraz z pracą, liczyli na uzyskanie domu.

- „*Frontu tam nie było, więc domy są całe, możecie się osiedlać.*” - tak zapewniano w Lubinie. Kiedy dotarli na miejsce zaniemówili z wrażenia, bo fabryka rzeczywiście robiła ogromne wrażenie. Niestety, Rosjanie zajęli ich przyszłe miejsce pracy, nawet nie zostali wypuszczeni na plac. Ciężarówkami wywożono mienie. Mężczyźni wrócili z niczym, nadal nie mieliśmy domu i perspektyw. Liczyliśmy na to, że wrócimy... To, że trafiliśmy do Obory, zawdzięczamy pani Sokołowskiej, która przyszła i powiedziała, że właśnie w Oborze mieszka babcia Bejczakowa i jest miejsce dla krowy, a my wszyscy z jednej parafii, będzie nam rażniej, domy stoją puste, jest miejsce, a to wszystko i tak tymczasowo, bo przecież wrócimy do Wełdzirza. Mama zabrała nas do Obory, 36 rodzin już tu mieszkało. Domy, które pozostały szybko zostawały zajmowane. Dom, w którym dziś mieszkamy pozbawiony był dachu, okna powybijane, brakowało drzwi i mama nie zamierzała tu zamieszkać. Śp. Józef Taraciński był sołtysiem i wskazał nam opuszczony dom, na którym znajdowała się kartka z napisem „*zajęte*”. Sołtys twierdził, że wiadomość pozostawił zakochany chłopak, który pojechał za dziewczyną i z pewnością nie wróci. Niestety kiedy tylko wprowadziliśmy się, odnalazł się właściciel kartki – Jan Bejczak z żoną w ciąży. Mama nie miała wyjścia i przeniosła się do opuszczonego, zniszczonego domu. Zaczęliśmy od naprawy dachu. Otrzymaliśmy akt nadania, którym przydzielono nam 6 ha ziemi, konia i krowę, więc było jasne, że na Kresy już nie wrócimy. Pamiętam radość w sercu, że nie trzeba się bać o przyszłość, że można śpiewać polskie patriotyczne pieśni. Jako wotum dziękczynne Bogu za ocalenie i na znak na manifestacji chrześcijaństwa, jesienią 1945 roku Stanisław Gołębiowski z Józefem Bajkiem postawili krzyż

w dziadkowym ogrodzie. Z pustaków zbudowano postument. Kościół w Oborze był, ale ewangelicki, więc mieszkańcy postanowili, że należy chociaż krzyż zrobić. Sąsiedzi byli sobie życzliwi, Jan Bajek to był dobry Polak i katolik. Mój ojciec z zawodu był odlewnikiem, udał się pewnego dnia do Bajka z prośbą, by pomógł mu zrobić krzyż. Bajek szukał drutów aluminiowych, z których ojciec odlał tabliczkę. Chrystusa też odlano, ale był bez rąk no i tato mój postanowił, że tak być nie może i odlał też ręce. Pod krzyżem darczyńcy umieścili informację z nazwiskami pierwszych mieszkańców Obory. Kartkę włożono do butelki i zalakowano. Ten krzyż miał na celu manifestację naszego chrześcijaństwa, chcieliśmy by wszyscy wiedzieli, że katolicy tu mieszkają. W Lubinie był kościół, tzn. część mieszkańców od szkoły w stronę lasu uczęszczała do kościoła w Szklarach, natomiast pozostali mieszkańcy na msze chodzili do kościoła p.w. Serca Pana Jezusa w Lubinie. Ojciec pojechał do księdza proboszcza w Szklarach z prośbą, by poświęcił ten krzyż. I tak się stało. W święto Podwyższenia Krzyża Świętego, krzyż został uroczystie poświęcony przez księdza z Lubina. Józef Kołeczek postanowił, że trzeba też wybudować kapliczkę i prawie jednocześnie powstała i kapliczka, i krzyż. Kapliczka została poświęcona tego samego dnia, co krzyż. Po poświęceniu, przy herbacie i bimbze u Gołębiowskich nastąpiło wielkie świętowanie. Wszyscy ludzie byli dla siebie życzliwi, kochali się. Sołtys przychodził do ojca z prośbą o napisanie pism do urzędu. Ojciec zgadzał się bez problemu, skończył siedem klas w Stanisławowie szkoły powszechnej, a oprócz tego szkołę zawodową. Mój tato to był naprawdę uczciwy człowiek, ludzie go szanowali, nie przystąpił do partii, więc pracował ciężko na gospodarce. Uważał, że jest Polakiem, że walczył o Polskę, ale do partii się nie nadaje. Dnia 15 sierpnia 1945 roku odbyły się pierwsze dożynki powiatowe, gminne i parafialne jednocześnie i nie zapomnę ich do końca życia. Organizatorem i twórcą oficjalnych, urzędowych dożynek była Obora. Sołtysiem wówczas był Józef Taraciński. U Gołębiowskich, czyli obecna ul. Malinowa 23, ćwiczone tańce na rozpoczęcie dożynek np. trójniaka. Babcia Gołębiowska upiekła chleb dożynkowy – duży, ozdobny, przygotowała piękną dekorację talerza, na którym miał leżeć. Według pomysłu dziadka Gołębiowskiego wykonano piękny wieniec dożynkowy, był to obraz Matki Bożej z Piekar Śląskich z wpisanym wielkim orłem z koroną. Rewers wykonany był z kłosów na kształt orła. Mój tato wyciął z tektury tego orła, a my zbieraliśmy kłoski, by go okleić. Kleju nie było, mama musiała go zrobić z mąki żytniej. Jak teraz sobie pomyślę o tym to... Gdzieś znaleźliśmy ozdoby i z tego wykonaliśmy koronę dla orła. Obraz otoczony był wstążkami dostarczonymi przez Janinę Kuc i Stefanię Wojs. Przyozdobieniem zajmowały się siostry Gołębiowskie: Maria, Adela i Czesława oraz Wiktoria Bejczak. Wieniec uroczystie niesiony był do Szklar Górnych przez: Adelę Gołębiowską, Celinę Wilk, Stefanię Wojs i Janinę Kuc. Liczny korowód dożynkowy w czasie przemarszu śpiewał przy akompaniamencie akordeonowym Józefa Kołeczka i Gawła. W kościele do poświęcenia chleb niosła Adela Gołębiowska i Władysław Wojs. Poświęcenia chleba i wieńca dokonał niemiecki ksiądz. W czasie mszy odmówiono litanie do Matki Bożej po polsku, na chórze niemieckie zakonnice śpiewały pieśni maryjne. Po zakończeniu uroczystości kościelnych, wierni udali się na obrzędy świeckie do budynku, w którym dziś znajduje się Restauracja *Rozdroże*. Po tradycyjnych mowach, przekazaniu chleba staroście powiatowemu, zabawę rozpoczęto tańcem – trójniakiem w wykonaniu: Anieli Gołębiowskiej, Władysława Wojsa i Janiny Kuc. Po krótkiej zabawie podpity element ze Szklar wykazał niezadowolenie przy bierności oficjeli. Szacowni mieszkańcy Obory w osobach: Gołębiowskiego, Szostaka, Bejczaka, Taracińskiego, Retkwy,

Polniaka, Bajka zdecydowali o przeniesieniu zabawy do Obory. W domu mojego dziadka, przy



obecnej ul. Malinowej 23, bawiono się do późnych godzin nocnych przy akompaniamencie akordeonowym w wykonaniu Kołeczka, Gawła i Jana Polniaka. Nie istniał jeszcze podział administracji kościelnej, dlatego dożynki były tam, gdzie gmina. Zaraz po dożynkach uruchomiono kościół w Oborze, księdza przywoził ten, kto miał konia. Ustalono kolejkę: Szostak, Bajek lub Kołeczek. Odprawiał ks. Szpyrna, rzadko ks. Białek. Obraz Matki Bożej Wniebowziętej daliśmy do kościoła, Mania Kołeczek, Mrozińska pomagały. Mrozińska dała obrusiki. Posprzątałyśmy po tym kościele ewangelickim, bo to i ambona była tak z

boku, chór, ławki – wszystko posprzątałyśmy. Pamiętam, kwiatów nie było, to kawalerowie: Polniak i Dziki jechali rowerami do Gilów, bo piękne kwiaty tam rosły. Rzeczywiście kwiaty były, przywieźliśmy je do kościoła, wewnątrz świątyni posprzątałyśmy no i czekaliśmy na księdza. Machnikowa, Stempniowa chodziły, śpiewaliśmy pieśni np. *Pij ten kielich z bożej woli*, aż ksiądz się zachwycił tą pieśnią i tym śpiewaniem, że po mszy świętej został i prosił, by mu słowa zapisać. Kilka mszy się odbyło, ale pewnego dnia przyszło trzech ludzi, działaczy komunistycznych, i wygonili nas z kościoła. Mówiliśmy że czekamy na mszę świętą, wygonili nas mówiąc, że to „komedia”. No i tak bardzo krzyczeli, że to „komedia”. Zakazano księdzu przyjeżdżać, pod groźbą zamknięcia kościoła w Lubinie. Latem 1946 roku zakazano odprawiania mszy. Chodziliśmy do Lubina. Kościół popadał w ruinę, części drewniane wywieziono na spalanie, w tym krokwie dachowe. W Oborze mieszkali rozmaici ludzie: szabrownicy, cyganie.... krokwie, ławki brali do palenia. Z Manią Kołeczek poszłam pozabierać te rzeczy, które należało ocalić. Wzięłyśmy obraz Matki Bożej Wniebowziętej, serwetki... Kościół był bez dachu. Dzwon ksiądz Lichota zabrał do Szklar, później przewieziono go do Lubina. Przyszedł ksiądz i zaczął ten Kościół pomału odnawiać. Szcześniak pilnował robót, ksiądz na mszy ogłaszał, że tyle i tyle ludzi ma być do pomocy. Co dzień ktoś był. Przychodził też Zgótko – taka złota rączka, wszystko umiał i tylko nam mówił ile wody, ile piasku, a my robiliśmy zaprawę. Szcześniak zawsze był pierwszy, ja raz w tygodniu starałam się iść pomóc. Zostawiałam pracę na gospodarce i szłam do pomocy. No bo kto miał iść? Mąż był w pracy, mój tato chorował na astmę i nie mógł chodzić, tak więc ja szłam i jeszcze Sudomińska. Ręcznie mieszałyśmy zaprawę. Trzeba też było ściany wymurować, ale brakowało cegieł, to tato mój rozebrał jedną ścianę przy naszym domu i zawiózł cegły do kościoła a w domu deskami ubytek zabili, by przeciągu nie było. Gdy zakończono murować ściany, zalewali szalunki. Wiadrami zalewali strop. Jednego dnia trzeba było sufit zalać. Mi się w głowie kręciło, wyżej nie weszłam, ktoś mi wiadra podawał, a Sudomińska na samej górze stała. Od niej wiadra odbierali mężczyźni i zalewali. Narobiliśmy się, ale kościół stał. Biskup przyjechał poświęcić. Zrobiono biskupowi tron, posadzono go w tym małym pomieszczeniu

z tyłu kościoła i mój tato został oddelegowany, by podziękować biskupowi. Potem bierzmowanie tu było i taka śliczna pogoda....